

Marek Magierowski: Ze światem coś jest nie tak

Zamykamy się w kolejnej klatce, która izoluje nas od prawdziwego życia



Zamykamy się w kolejnej klatce, która izoluje nas od prawdziwego życia

FRONDA *Tekst ukazał się w najnowszej "Frondzie".*

Tkwimy w środku matriksu
I choć w każdej chwili możemy
go opuścić, wolimy ciepło i spokój
hermetycznej bańki.

Gdybyśmy oglądali jedną telewizję, a w niej wyłącznie seriale oraz – od czasu do czasu – jakiś program informacyjny, gdybyśmy wertowali jedną, niezbyt wiarygodną gazetę oraz jeden kolorowy tygodnik, gdybyśmy czytali jedynie książki z pierwszej dziesiątki bestsellerów Empiku, gdybyśmy się spotykali tylko ze znajomymi dzielącymi nasze poglądy, gdybyśmy spędzali więcej czasu na Facebooku niż na

świeżym powietrzu, moglibyśmy odnieść wrażenie, że żyjemy w ratriksie. Że odgradzamy się od rzeczywistości, preferując sztuczny świat otoczony szczelną powłoką, ze stałym klimatem, stałą temperaturą, plastikowymi uczuciami i poczuciem niczym niezmaconej błogości.

Gdyby tylko, ale zaraz, zaraz... Czy przypadkiem nie oglądamy jednej telewizji, a w niej swoich ulubionych seriali z ulubionymi bohaterami? Czyż nie kartkujemy codziennie tej samej gazety, nie kupujemy co poniedziałek tego samego tygodnika, nie czytamy grafomańskich książek z listy przebojów największej sieci księgarni? Czy nie rozmawiamy wyłącznie z tymi przyjaciółmi, z którymi na pewno nie pokłócimy się o Smoleńsk, o Tuska, o Palikota, *in vitro* i o małżeństwa homoseksualistów? Czy nie zajmujemy się przez pół dnia klikaniem na „lajki” i akceptowaniem kolejnych „friendsów”, nie zamieniając z nimi ani słowa?

Co tak naprawdę dociera do nas ze świata zewnętrznego, co nie byłoby kłamliwym sloganem, sprzedawanym co pięć minut na żółtym pasku telewizyjnego ekranu, czy pełnym manipulacji i zwykłych bredni tekstem na pierwszej stronie poczytnego dziennika? Matrix wydawał się dotąd funkcjonować jako rzeczywistość równoległa, narzucona przez ciemne siły, obca i nachalna. Słabe jednostki poddawały się jej ochoczo, najczęściej nieświadomie, z czasem nawracając się na nową religię. Jednak im bardziej intruzywny stawał się matrix, tym większa rodziła się potrzeba buntu. Społeczeństwa mające za sobą

doświadczenie życia w systemach totalitarnych sprzeciwiały mu się instynktownie, gdyż był sprzeczny nie tylko z ludzką naturą, lecz także z przyznawanymi przez większość wartościami moralnymi.

Dziś żyjemy – teoretycznie – w społeczeństwach wolnych i otwartych. Demokracja święci triumfy w kolejnych regionach świata - w krajach Maghrebu, w Iraku, kiełkuje nawet w Birmie. Mamy natychmiastowy i niemal nieograniczony dostęp do informacji, do skrajnych opinii i do najrozmaitszych punktów widzenia. Jesteśmy bogatsi, lepiej wykształceni, bardziej mobilni, odważniejsi. Wydawałoby się, że w takich okolicznościach ludzkość powinna być na matrix uodporniona. Tymczasem jesteśmy świadkami odwrotnego procesu – tkwimy w matriksie, który zbudowaliśmy sami, dobrowolnie, bez konieczności uginania karku przed wszechwładnym, okrutnym nadzorcą, bez konieczności akceptowania zasad nowej wiary, Tkwimy w środku, mimo iż furтка, przez którą możemy wyjść na zewnątrz, cały czas widnieje przed naszymi oczami i w każdej chwili możemy ją otworzyć. W przeciwieństwie do protagonistów słynnej trylogii braci Wachowskich, ludzie czują się dobrze w swoich wygodnych, ciepłych bańkach, postrzegając zewnętrzną rzeczywistość jako pełną niebezpieczeństw dżunglę, w której nie obowiązują żadne reguły i w której na ich życie czyhają drapieżcy. Nawet najbliższe otoczenie: krewni, sąsiedzi, przyjaciele, nie są już dla nich stuprocentowo „pewni”. Paradoksalnie, zagrożenie przychodzi dzisiaj nie ze strony matriksu, lecz... spoza niego.

Socjologowie spłodzili już setki tomów dzieł poświęconych wyobcowaniu i osłabieniu więzi społecznych, które leżą u podstaw

tego zjawiska. „Wyobcowanie miałoby być pochodną i negatywnym rezultatem współczesnej kondycji człowieka, cena, jaką ludzie płacą za dobrodziejstwo efektywnie działających i samoregulujących się rynków sprawnie pracującego aparatu państwa oraz poszerzających się w nieskończoność wolności obywatelskich” -- pisze Harry R. Dahms z Uniwersytetu Tennessee. W swojej pracy *The Matrix Trilogy as Critical Theory of Alienation: Communicating a Message of Radical Transformation* („Trylogia Matriksu jako krytyczna teoria alienacji: przekaz radykalnej transformacji”), w której zanalizował socjologiczne aspekty słynnego cyklu filmów. „Używając języka Matriksu - ciągnie Dahms – możemy stwierdzić, iż nowoczesna socjologia zaczęła się na początku XIX wieku od badania wszechobecnego przekonania, iż <<ze światem coś jest nie tak>> - jak zauważył Morpheus”.

Dwieście lat później znów okazuje się, że ze światem „coś jest nie tak”. Żyjąc w wygodnym matriksie, nieustannie narzekamy na niedogodności, które uparcie nam przeszkadzają. Gromadzimy dobra, upajamy się luksusami, ale towarzyszy nam poczucie winy, że nie przyłączamy się do zbożnej akcji zbawiania planety i naprawiania krzywd, które stały się udziałem innych uciemionych, dyskryminowanych, prześladowanych za poglądy, kolor skóry czy – to najnowsza moda – orientację seksualną. Jednak nadal trzymamy się zasady: „Nie wychodzić z bańki”. Zapewne dlatego najgorliwszymi obrońcami praw gejów i lesbijek są ci, którzy żadnego geja i lesbijki nigdy nie widzieli na oczy. Łatwiej jest wtedy zaangażować się w ową „szczytną akcję”, bo niezgodne z naszymi wyobrażeniami fakty obrazy czy statystyki po prostu do nas nie docierają i nie zakłócają percepcji rzeczywistości.

Podobnie jest w przypadku ludzi żarliwie wspierających Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Na początku stycznia każdego roku wystawiają dłoń przez niewielki lufcik w swojej bezpiecznej bańce i wrzucają banknot lub dwa do puszek z serduszkami. Westchnienie ulgi, poczucie spełnienia, zasłużony odpoczynek. Wystawienie ręki raz w roku jest bezpieczne. Wystawianie jej codziennie - mogłoby być ryzykowne, a wyjście z bańki po to, by zaangażować się głębiej w jakąkolwiek misję o charakterze charytatywnym – pomoc w hospicjum, udział w obozie dla niepełnosprawnych, opiekę nad ludźmi starszymi - w ogóle nie wchodzi w grę. Bo oznaczałoby konieczność opuszczenia gniazda.

„Z tym światem coś jest nie tak”. Tak, chcemy go naprawić, zamartwiamy się globalnym ociepleniem i losem następnych pokoleń, niedoskonałościami kapitalizmu, chciwością bankierów, niedolą wietnamskich biedaków pracujących za dolara dziennie w fabrykach produkujących modne ciuchy. Jak jednak przystąpić do owej naprawy skoro boimy się jak ognia tego, co znajduje się poza „zewnątrzną powłoką”?

W *Avatarze* Jamesa Camerona główny bohater jest upośledzonym fizycznie żołnierzem piechoty morskiej, wysłanym z misją na odległą planetę. Także on wkracza do nieswojego świata – pół-Matriksu, w którym toczy żywot równoległy: jest niejako „duszą” wyhodowanego sztucznie przedstawiciela tubylczego plemienia. Jake Sully staje się łącznikiem między światem zdegenerowanym, pozbawionym resztek moralnych odruchów, zabiegającym jedynie o władzę i dobra materialne (W tym wypadku rzadki i drogi surowiec występujący na Pandorze) a dziewiczym światem urokliwej planety społecznością,

która zachowała swoje pradawne obyczaje i hierarchię, kultywuje tradycje i jest pod każdym względem „czystsza” i lepsza od społeczności Ziemi.

Jake Sully jest naszym odkupicielem. Wchodzi w skórę jednego z przedstawicieli owego „czystego” plemienia, przeżywa nawrócenie, w końcu opiera się dawnym przełożonym, broniąc pierwotnej cywilizacji przed nagą siłą i brutalnością najeźdźców.

Czy musimy go naśladować? Czy musimy analizować wszystkie fabularne warstwy filmu, odniesienia, aluzje? Nie. Wystarczy że obejrzymy film w naszej bańce, stwierdzimy publicznie, że to „trafna alegoria amerykańskiego imperializmu, a w szczególności wojny w Iraku”, i będziemy mogli dalej żyć własnym życiem, przekonani, iż właśnie uczyniliśmy Dobro, oglądając wysokobudżetowy hollywoodzki film z tzw. przesłaniem, które w mig zrozumieliśmy i które przekazemy dalej.

Możemy się naszymi spostrzeżeniami podzielić w internecie, co robimy zazwyczaj z wielką ochotą i pewną dozą ekshibicjonizmu. Opinie aprobowane przez matrix podpisujemy własnym nazwiskiem, nieco mniej ortodoksyjne – pseudonimem. Zagłębiając się po szyję w cyberprzestrzeń, oczekując nieskrępowanej wolności i jak największej liczby „lajków”.

Tymczasem zamykamy się w kolejnej klatce, która izoluje nas od prawdziwego życia.

Z kilku badań i sondaży przeprowadzonych w ostatnich latach w USA wynika, iż w amerykańskim społeczeństwie wyobcowanie nasila się mniej więcej od połowy lat 80. ubiegłego wieku.

Socjologowie Miller McPherson, Lynn Smith-Lovin i Matthew Brashears, którzy dogłębnie analizują tę tendencję, utrzymują, że rozwój telefonii komórkowej i internetu wręcz stymuluje postępujący rozkład tkanki społecznej. Ich zdaniem portale społecznościowe z łatwością wygrywają ze spotkaniami sąsiedzkimi, kółkami samopomocy, lokalnymi klubami dyskusyjnymi czy bibliotekami. Jednak geograficzny zasięg internetu sprawia, że zachwiane zostają proporcje między prawdziwym otoczeniem, istniejącym za drzwiami naszego mieszkania czy za płotem ogrodu, a otoczeniem wirtualnym, które imponuje rozpiętością, choć jest tak bardzo puste.

Oddziałuje wyłącznie na zmysł wzroku, rozprasza i nie daje innym zmysłom nawet jednej setnej tej przyjemności, którą może dać spacer po alejkach najbliższego parku. McPherson, Smith-Lovin i Brashears zwracają uwagę na tę geograficzną „autoamputację” - ludzie z pełną świadomością przecinali nici, które łączyły ich z najbliższym sąsiedztwem, częstokroć dużo bardziej inspirującym niż internetowe sieci społecznościowe, z coraz to nowymi zachętami, możliwościami i atrakcjami. Uzależnienie od matriksu – także w wersji wirtualnej - wpływa na nasze decyzje polityczne, biznesowe, kulturowe. Trendy

przychodzą falami i trudno im się oprzeć. Jeśli jakaś telewizja, gazeta lub tygodnik choćby w minimalnym stopniu wypełniają naszą potrzebę naprawiania świata, „z którym coś jest nie tak”, zaczynamy odczuwać skłonność do identyfikowania się właśnie z tymi mediami, które - w powszechnym mniemaniu - „szerzą dobro”. A wówczas gładko poddajemy się indoktrynacji także w tych dziedzinach, które z naprawianiem świata mają niewiele wspólnego.

Po jakimś czasie przychodzi odrętwienie, umysł zaczyna reagować na coraz bardziej banalne bodźce. W naszej ciepłej bańce czujemy się coraz lepiej. Tym lepiej, iż miliony innych ludzi zachowują się tak samo, niczym żaby poddawane elektrycznym impulsom. Odczuwamy z nimi więź i solidarność. Dzięki temu możemy szybko zdusić w sobie jakiegokolwiek oznaki zwątpienia i ochotę do wychodzenia na zewnątrz. Po co, jeżeli nikt się na to nie decyduje?

W matriksie wszyscy pokornie przyjmują role, które są im nieodwołalnie narzucane. Niewyobrażają sobie, by sami mogli je zmienić, bo nie widzą w tym żadnych korzyści, a jednocześnie pragną, by wszyscy wokół pozostali przy swoich rolach. Byliby zagubieni, gdyby nagle księżę okazał się żebrakiem, znany aktor - draniem, a hulaka - abstynentem. Ludzi, którzy odrzucają swoje role, system szybko wypłuwa, jako nieuczciwych i... nieautentycznych.

W irynym znakomitym filmie - *Truman Show* Petera Weira - bohater jest przez widzów darzony sympatią i miłością, lecz w pewnym momencie ryzykuje, gdyż zaczyna walczyć z kłamstwem. Obserwatorzy

nie potrafią zrozumieć, dlaczego złamał zasady, dlaczego zrezygnował ze swojej roli i stara się opuścić świat, w którym przecież powinno mu być tak dobrze. Ostatecznie telewidzowie zaczynają mu kibicować, ale nie dlatego, że uznali jego racje dążenia, lecz dlatego, iż zmieniły się bieguny Zła. Widzowie – w przypadku *Truman Show* stanowiący masę zarządzającą matriksem – narzucili po prostu inną rolę Christofowi, demiurgowi w szatach telewizyjnego reżysera. Rolę Złego. Albowiem poczuli się przez niego oszukani.

Zmiana ról jest więc możliwa tylko w jednym wypadku: gdy ludzie utopieni w matriksie chcą zachować swój błogostan i poczucie, iż czynią Dobro. W szczególnie bezlitosny sposób wykorzystują tę zasadę media, narzucając role politykom. Ten jest pragmatykiem, tamten furiatem. Ten wykazuje odpowiedzialność, tamten może nas doprowadzić na skraj katastrofy. Rzeczywiste cechy zdolności, poglądy, ambicje, a nawet biografia są przez telewizję i gazety bez ustanku kształtowane tak, by pasowały do przeznaczonej dla danego polityka roli. W przypadku Trumana Burbanka ten eksperyment przeprowadzano na żywym organizmie - Christof i jego współpracownicy podejmowali wszystkie decyzje dotyczące życia swojego „podopiecznego”, od dnia jego urodzin: co będzie czytał, z kim będzie się spotykał, w kim się zakocha. Dzisiaj media mają *de facto* podobną władzę. Wprawdzie nie decydują, z kim się spotka i co powie polityk, ale decydują o tym, jaki przekaz trafi ostatecznie do czytelników i widzów. Decydują zatem o obrazie, który powstaje w umysłach odbiorców - obrazie pasującym, rzecz jasna, do wcześniej ustalonej roli.

W ostatniej scenie Truman Show, gdy bohater opowieści otwiera drzwi i przechodzi ze świata wirtualnego do realnego, wierni fani programu, oglądający go od lat, sięgają po telewizyjne piloty i zaczynają zmieniać kanały by znaleźć kolejny spektakl typu *reality*. Taki, który umocni ich w przekonaniu, iż życie w matriksie może być znośne, a nawet przyjemne. I że z rzeczywistym światem ciągle „coś jest nie tak”.

Marek Magierowski